

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona -- 80 zł.
1/2 " -- 40 "
1/4 " -- 20 "
1/8 " -- 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Uspokojenie... bez reform.

Masowe areszty członków legalnej białoruskiej „Hramady”, w tej liczbie czterech posłów sejmowych wywołały zrozumiałą sensację nie tylko w kraju, lecz i zagranicą. Uwięzienie posłów i następnie dopiero domaganie się od Sejmu wydania ich sądowi zakrawa na drwiny z konstytucji, gwarantującej nietykalność reprezentantów sejmowych. Ale zdaje się nikt już obecnie w państwie polskim na serio nie liczy się z konstytucją.

Oskarżenie „Hramady” o „zbrodniczą działalność, skierowaną przeciwko bezpieczeństwu państwa i prowadzoną pod dyrektywą obcych czynników za pieniądze idące z zagranicy” jest tak ogólnikowe, że trzeba czekać na rozprawę sądową, by powziąć dokładne wyobrażenie o istocie inkryminowanego przestępstwa. Doniesienia prasowe podawały o rezultatach dokonanych rewizyj tak kompromitujące szczególnie, że zdawało się na razie, iż nie może być żadnej wątpliwości co do słuszności oskarżenia. Zwłaszcza „Słowo” wileńskie sypało jak z rogu obfitości coraz to bardziej sensacyjnymi informacjami, nie cofając się nawet przed wyraźnym kłamstwem i oszczerstwem. Niebawem jednakże się okazało, że wszystkie te wiadomości o olbrzymich sumach, znalezionych podczas rewizji u posła Taraszkiewicza, o przyznaniu się p. Ostrowskiego do winy i czynów nigdy przezeń nie popełnionych, o fantastycznych operacjach białoruskiego banku współdzielczego i t. p. są albo zmyślane całkiem albo niemożliwie przesadzone. Część tych sensacyj musieli odwołać sami informatorzy, część została sprostowana na podstawie niewątpliwych danych przez poszkodowane osoby i instytucje. Dopiero więc rozprawa sądowa wykaże, czy oskarżenie się opiera na podstawach faktycznych, czy też zostało zbudowane na kruchym fundamencie

jedynie w tym celu, aby sparaliżować niepożądaną działalność „Hramady”.

Wątpliwości te są zupełnie zrozumiałe, jeżeli się weźmie pod uwagę, że inicjatorem i kierownikiem obecnej akcji przeciwko „Hramadzie” jest p. Aleksander Meysztowicz, który się tak fatalnie skompromitował na stanowisku suwerena Litwy Środkowej, aresztując kilkudziesięciu działaczy litewskich i białoruskich bez dostatecznych powodów prawnych i będąc zmuszonym, dla uniknięcia skandalu, do zlikwidowania sprawy sposobem administracyjnym t. j. do wysłania 33 aresztowanych z granic państwa. Zapowiadany zaś jednocześnie proces sądowy nigdy nie doszedł do skutku.

Jakikolwiek jednak będzie przebieg dalszy sprawy sądowej, już dziś można stwierdzić, że dokonane masowe areszty nie osiągnęły swego celu — rozbicia „Hramady” i zatamowania rozwoju radykalno-narodowego ruchu w masach białoruskich.

Cios wymierzony był mocno, ale przeciwnika nie obalił; bodaj, że go tylko na chwilę ogłuszył. Przedewszystkiem organ „Hramady” — „Nasza Sprawa”, mimo ustawicznych konfiskat, wychodzi w dalszym ciągu, sekretariat stronnictwa działa i energicznie zabiega dokoła wypełnienia wytworzonych przez areszty luk, praca organizacyjna bynajmniej nie ustała i nic nie będzie dziwnego w tem, jeżeli w krótkim czasie ilość „hurtków” w naszym kraju nie tylko się nie zmniejszy, ale znacznie wzrośnie. Jest to zwykły skutek wszelkich represyj, że potęgują one świadomość w masach i popularyzują prześladowane hasła i idee.

Prasa polska, zadowolona z wykazanej przez rząd energii, jak zwykle, przeszła nad całą sprawą do porządku dziennego w błogim przeświadczeniu, że uwięzienie szeregu agitatorów przywróci spokój na „Kresach”, że przez to samo zagadnienie białoruskie przestało istnieć. Jedynie „Kurjer Wileński”

wykazał głębsze jego zrozumienie, w szeregu artykułów oświetlając gruntownie genezę i perspektywy orientacji wschodniej w ruchu białoruskim. Trafną diagnozę postawił p. B. Wścieklica, omawiając w artykule wstępnym pierwsze wiadomości o masowych aresztach: „Jeśli doszło do takiego wzrostu akcji białorusko-bolszewickiej, jak to wynika z wiadomości o jej likwidacji, to jest to dowodem, że sprawa białoruska, zabagniona przez poprzednie rządy, nie została w porę postawiona na porządku dziennym w okresie pomajowym. Wolelibyśmy, gdyby ostre zarządzenia władz państwowych przeciwko Hromadzie poprzedzone zostały działalnością pozytywną. Stojąc wobec faktów dokonanych tembardziej podnosimy swój głos, który chcielibyśmy, aby był usłyszany przez społeczeństwo polskie i sfery miarodajne: sprawa białoruska w całej swej rozciągłości stoi na porządku dziennym!”

Tę samą myśl rozwija szerzej w innym artykule wstępnym p. St. Świaniewicz: „Działaczom białoruskim trzeba dać inne możliwości zastosowania ich sił. Trzeba im dać warsztaty twórczej pozytywnej pracy dla dobra narodu białoruskiego, dla podniesienia jego stanu gospodarczego, dla szerzenia oświaty, dla pracy nad budzącą się białoruską kulturą.

Dotychczas państwo polskie systematycznie te wszystkie warsztaty niszczyło, polityka polska gwałtem pchała Białorusinów w objęcia Rosji. Jestem głęboko przekonany, że umożliwienie pozytywnej pracy dla dobra naszego kraju odciągnie większość prawdziwych i szczerych Białorusinów od ryzykownej ze względów na przyszłość ruchu białoruskiego współpracy z komunistami“...

Są to prawdy tak oczywiste i tyle razy już wypowiedziane przez rozsądnych polityków i publicystów polskich (wystarczy przypomnieć wydaną przed kilku laty broszurę Srokowskiego), że uzasadniać je i argumentować bardziej przekonywująco, niż dotąd — nie sposób. Niestety czynniki rządowe wołają słuchać reakcyjnych rad zbankrutowanych moralnie kamerjunkturów carskich, którzy swe poglądy polityczne kształtowali na wzorach metod Stołypinowskich...

Protest białoruski przeciw konkordatowi.

W swoim czasie w „Przeglądzie Wileńskim” zamieściliśmy ustępy wydatniejsze protestu Litwy przeciw konkordatowi polskiemu. Mimo że nota rządu litewskiego tu i owdzie była przyostrą, jednak memorandum — protest W. Łastowskiego daleko pod tym względem zostawia poza sobą wystąpienie litewskie. Podczas pobytu swego w Rzymie w r. 1925, *Starszyna Suwiazii nacjon. i no-dziarżanaho wyzwaleńnia Bielarusi i byuszy Starszyn'a Rady Ministrów Bielarskaj Narodnaj Respubliki* potrafił znaleźć drogę do sekretarjatu stanu i osobiście podać do rąk

jego kierownika kard. Gaspariego *) swój protest, datowany w Rzymie dn. 7.IV.1925 r. Jak na młodą dyplomację białoruską, znamieną jest ta szybkość (w niespełna dwa miesiące po podpisaniu konkordatu polskiego). Protest ten był podany cały w kowieńskim „Krywiczu” (№ 9 z r. 1925, przyczem we wstępie do niego Łastowski dał upust swej złośliwości, posądzając Watykan o faworyzowanie Polski z pobudek najniższych.

Zgodnie z metodą, nakazującą zaczynać omawianie wszelkiej sprawy *a nomine*, autor protestu białoruskiego zaczyna swe wywody od przedstawienia dalekiemu Rzymowi, co to za naród Białoruski — Krywicze, gdzie mieszkają i jaka ich liczebność. Według danych Łastowskiego, liczba Białorusinów katolików wynosi *około 4.000.000*, co stanowi trzecią część wszystkich Białorusinów. Są to prawie wszystko łacinnicy, chociaż przeważnie potomkowie unitów, — bo dziś liczba Białorusinów obrządku słowiańsko-katolickiego stanowi całkiem znikomą część odsetek. Jak na dokument urzędowy, wręczony Stolicy Apostolskiej, razi w nim, że Łastowski mówi tylko o obrządkach katolickim i wschodnim, więc prawosławnym, jakby nie były to jednocześnie dwa osobne wyznania!

Dalej idzie ustęp historyczno-polityczny, poczem protest swego wysokiego adresata wprowadza *in medias res* obecnego stanu rzeczy na Białorusi. Zupełnie słusznie Łastowski pisze, że ze *wszystkich* sposobów wynaradawiania bezsprzecznie najohydniejszym jest wręcz wykorzystywanie w tym celu wierzeń i uczuć religijnych ludu. Dostaje się tu i ambonie i konfesjonałowi, niesłusznie tylko protest pomstuje na grube a jaskrawe ich nadużycia, które oczywiście mogą być tylko b. rzadkim wyjątkiem, a nie metodą, i właśnie dzięki swej brutalności wywołują skutki wręcz odmienne od zamierzonych. Natomiast zawsze bez porównania niebezpieczniejszymi a skuteczniejszymi są metody subtelniejsze, mniej jaskrawe, zato oparte na znawstwie dusz mało orientujących się prostaczków. Celują w tem cwani gracze i demagodzy polityczni, spekulanci i spryciarze.

Mógł sobie Łastowski uwierzyć, że ks. kan. Maciejewicz, wżytując białoruską średnią szkołę (seminarjum nauczycielskie) w historycznych Borunach, miał grozić uczniom: „kulka w łeb każdemu, kto będzie czytał książki białoruskie!” Wybaczy on nam jednak, że położymy tę opowieść między bajki. Naogó jakież sens mogło mieć zaprzatanie uwagi papieskiego sekretarjatu stanu takim pojedynczym epizodzikim, jeśli by on nawet i zasługiwał na wiarę?! Urzędy tak wysokie, jak powyższy, rozważają z natury rzeczy więcej *generalia* niż *singularia*. Wnikając w to, co ktoś gdzieś kiedyś powiedział lub zrobił, maszyna takiego urzędu musiałaby zaraz stanąć, dzięki wytworzonemu wnet z tych drobnoustrojów zatorowi *życia codziennego*.

Sporo uwag Łastowskiego zasługuje na zanotowanie dla swej trafności. Weźmy np. taką: „Mowa białoruska z jej piśmiennictwem, posługującym się (dawniej) literami słowiańskimi, była na wschodzie symbolem i mostem do zjednoczenia kościołów”. Stąd wydany przez Mikołaja I. zakaz jej używania w kościołach katolickich.

Osobiście uważamy polski konkordat, na którym co krok się widzi ślady ręki St. Grabskiego, za *magna charta libertatum* dla endecji. Więc ganiąc u Łastowskiego przesadę, brak niezbędnej kryty-

*) Nikt go „papieskim sekretarzem”, jak Ł., nie nazywa.

cyzmu w doborze i analizie faktów i przykładów dla poparcia wysuniętych przezeń tez, jak też wyzywająco obraźliwy ton jego wywodów, nie taimy że protest białoruski zawiera znacznie więcej rzeczy słusznych i godnych uwzględnienia przez Watykan.

Nie zwykła *Roma aeterna* jednak śpieszyć, więc trzeba cierpliwie czekać. Wolno atoli już dziś mieć dobre nadzieje, bo zagadnieniami narodowościowymi, jak to widać na przykładzie Chin, Rzym się interesuje coraz więcej. I Rzym naraz wszystkiego nie zrobi, ale przyjdzie kolej i na Białoruś.

O.

Luki w polemice o mniejszość rosyjską.

Skoro p. Bochan poruszył w swym artykule (№ 22 Przegl. Wil. z r. ub.) sprawę mniejszości rosyjskiej u nas i wysunął żądanie dla niej praw narówni z innymi mniejszościami, winien był, choć w paru słowach uzasadnić, że są u nas Rosjanie—odwieczni mieszkańcy kraju, których żadną miarą nie wolno uważać za jakąś naleciałość. Tego p. Bochan wcale nie uczynił, widocznie nie zdając sobie sprawy, że tylko krajowy światopogląd przestrzega u nas zasady *suum cuique*, zwalczając wszelki nacjonalizm i dążenia do wyłączności i supremacji.

Historja mówi np. o ucieczce za czasów Iwana Groźnego na Litwę księcia Kurbskiego. Niezawodnie liczba takich egzulantów politycznych była większa. Osobną kartę w pradziejach elementu rosyjskiego u nas stanowią masowe ucieczki na Litwę starowierów, prześladowanych srodze przez Cerkiew prawosławną. Ani jednym też słowem nie wspominał p. Bochan, że duży odsetek tych, co w kraju naszym podawali się i podają się za Rosjan stanowili zawsze rdzenni Białorusini. Jeśli na ziemiach b. W. Ks. Lit. *gente Rutheni, natione Poloni* zażywali praw szeroki, jako odwieczni tych ziem dziedzice i gospodarze, to sama sprawiedliwość domagałaby się również identycznych praw dla kategorii osób, mianujących się *gente Rutheni, natione Russi*. I tu i tam chodzi o ten sam szczepek, tę samą krew. Któż bowiem dziś kwestjonować jeszcze będzie prawo do wolnego, a niczem nieskrępowanego samookreślenia swej przynależności narodowej? Może robi to endek gdzieś w zapadłym kącie prowincji, ale publicznie i on z takim twierdzeniem nie wystąpi. To są wszystko luki, opuszczenia p. Bochana. Tłumaczą one niejednego postawiony mu przez oponentów p. p. B. S. i K. B. (№ 1 „Przegl. Wil.” z r. b.) zarzut

Ale luki są też i u tych, co zechcieli swe pióra skrzyżować z piórem zdolnego publicyisty rosyjskiego. Niektóre z nich wytknęła już Redakcja, poprzędając ostatni dwugłos, ale nie wszystkie. Zwłaszcza p. K. B. powiedział nie wszystko, co w tym wypadku powinien byłby. Słusznie podkreślił on, że ludziom wolnych profesyj, chociażby oni byli Polakami, działa się w Rosji, za rządów carskich, nieźle. Jednak ich życiowego powodzenia nie można przecież zapisywać na konto caratu lub narodu rosyjskiego! Było ono wyłączną konsekwencją ich niezależnego fachu. Ale to jedna tylko kategoria. Działo się jeszcze lepiej tym z Polaków, którzy w Rosji zajmowali posady w instytucjach i przedsiębiorstwach prywatnych. Mowa tu oczywiście o bankach i fabrykach. Wybrańcy losu, inżynierowie głównie istotnie prowadzili jedwabne

życie, zarabiając ogromne sumy. Inna znów kategoria, to ludzie nauki. Petrażycki, Zieliński, Paczoski Ziemański zawdzięczali jednak stanowiska i dobrobyt tylko swej głowie i swym zdolnościom. Wzbogacali oni zresztą naukę i kulturę rosyjską.

Wreszcie niejednym z tych, co będąc Polakiem, wysoko się wspinał w Rosji na najwyższe szczeble czternastostopniowej drabiny rang, trafił tam dzięki temu, że posiadał jak nikt inny arcana wyższej biurokracji. A jak wdzięczny materiał na typowego biurokrata stanowi często Polak, o tem świadczą wspaniałe rezultaty rodzimej kultury biurokratycznej na glebie galicyjskiej. Otóż i Rosja, posiłkując się czasem biurokratami *połskago proischożdenja*, działała tylko w dobrze zrozumianym własnym interesie.

Ale jakże tych wszystkich szczęśliwców w Rosji było mało, w stosunku do jej obszaru i ludności. Czy Polacy w administracji równać się mogli liczebnie z Niemcami, a w wojsku z Tatarami i przedstawicielami plemion kaukaskich?!

P. Bochan został trochę niezrozumiany. P. B. S. może się uspokoić, że w osobie p. Bochana nie ma przed sobą jakiegoś wroga odrodzenia narodu białoruskiego, a zawziętego rusyfikatora. Człowiek, który w prasie dawał wyraz temu, że z pochodzenia jest Białorusinem, tłumaczył Kupalę na rosyjski i z przyjemnością czyta piękne białoruskie przekłady Kraucowa Makara, nie powinien być zaliczony w poczet wrogów ruchu białoruskiego. Ale byłoby również grubym błędem posądzać o jakąś wrogość do Polaków tego, który w znajomości literatury polskiej ustępuje na wschodzie chyba jednemu prof. Jacimirskiemu i który przełożył na rosyjski niemal całego Słowackiego!.

Znowu panu K. B. trzeba przypomnieć, że jego przeciwnik, to żaden wróg Kościoła katolickiego. Owszem żywi dlań niemały respekt, a zasadniczym wrogiem *idei* połączenia Kościołów nie jest już choćby dla tego, że w swoim czasie na szpaltach gaz. „Wilenskoje Słowo” zamieścił entuzjastyczny artykuł pewnego unjonisty, napisany na motto Borysa Czyczeryna: *Jest mieczty, dla kotorych stoit żyt'*.

Rozgoryczyć mogła p. Bochana tylko polityka szyszan względem Rosjan i fatalne nieraz metody pracy unjonistycznej w Wilnie.

Ale to są wszystko rzeczy przemijające

Jadźwing

Jak jest a jak być powinno.

W jednym z ostatnich numerów „Biełar. Krynicy” podana była wiadomość, że katechizm w języku białoruskim już od dłuższego czasu leży w Kurji Metropolitalnej Wileńskiej, czekając na *aprobatur* a doczekać się tego nie może, gdyż w sferach tych pokutuje przekonanie, że co jest nie polskie, temsamem nie jest i katolickie, a więc nie zasługuje na aprobatę duchowną. Niestety jest to fakt już nie pierwszy. Wiadomo nam, że podobnie długo leżała tam w r. 1912 „Kantyczka”, zawierająca pieśni nabożne w języku białoruskim. Również długo leżały tam teksty modlitwy po białorusku do obrazka, Majowe nabożeństwo, Historja święta i szereg innych rzeczy, a wszystkie zwrócone zostały, po długim obijaniu progów Kurji, bez aprobaty i wogóle bez opowiedzi. To samo przyjęcie spotkało, gdy proszono o pozwolenie na wydawanie katolickiego „Siejbita”.

Widocznie swego przekonania, że co nie po polsku, to niekatolickie, władze kościelne nie mają odwagi wypowiedzieć otwarcie, zwłaszcza na piśmie, pomne że *scripta manent*.

W Nr. 21 „Pzegl. Wileńskiego” (r. ub.) podano notatkę o ukazaniu się w druku książeczek religijnych w języku białoruskim w duchu i dla użytku metodystów. Jeszcze wcześniej ukazała się wiadomość, że Białorusini-metodyści drukują, czy jeszcze tylko tłumaczą całe Pismo Święte. Zestawienie tych faktów powinno dać do myślenia przede wszystkim władzom duchownym Kościoła katolickiego. Czy przetrzymywanie do nieskończoności złożonych w kurji do aprobaty białoruskich prac katolickich nie popycha właśnie ludzi niemocno ugruntowanych w katolicyzmie w objęcia metodyzmu i innych sekt, które właśnie najchętniej podejmują się wszelkich wydawnictw w języku białoruskim?

A czy katolicy nie mogą się zdobyć na wydanie po białorusku przynajmniej Nowego Testamentu księgi psalmów? Owszem zdobyliby się na to już dawno, ale właśnie przekonanie, że mozolnie przedrowadzone tłumaczenie—będzie latami leżało w tej pub owej kurji biskupiej i w końcu aprobaty nie dołczeka, niejednego powstrzymuje od podjęcia się tej pracy. Zresztą wiadomo nam, że ten i ów z księży Białorusinów ma już gotowe manuskrypty niektórych ksiąg Pisma św. w języku białoruskim, ale z tych samych powodów nie próbują nawet dawać ich do aprobaty. Słyszałem kiedyś od dobrego skądinąd katolika, że nic nie miałby przeciw temu, by jakieś towarzystwo biblijne, czy ktokolwiek bądź wydrukował Pismo święte po białorusku i bez aprobaty katolickiej, byleby to tłumaczenie nie zawierało fałszów i błędów.

Dziwnem i wprost niezrozumiałem jest, że kler katolicki, jeżeli udaje się na misje do Afryki, to uczy się wprzód z nakładem długiej i trudnej pracy mowy lub narzeczka najdzikszych plemion murzyńskich i uważa to słusznie za całkiem naturalne, u nas jednak kieruje się całkiem innymi zasadami. Uważa bowiem, że nie ksiądz mowy ludowej, lecz lud mowy księżej powinien się uczyć i wyrzekać się całkiem swej narodowości, jeśli chce osiągnąć zbawienie duszy! Jeżeli zaś nie chce porzucić mowy ojców i dziadów, to wolno mu raczej zostać metodystą, baptystą, czy kim sobie chce — ale za nic nie wolno mu modlić się w kościele katolickim po białorusku, nie wolno mieć w tej mowie katechizacji, słuchać nauk i t.p.

W wielu miejscowościach, wskutek odbioru zabranych niegdyś na cerkwie prawosławne kościołów katolickich, znalazły się one dziś w otoczeniu osad zamieszkałych przez prawosławnych, którzy zwłaszcza z początku dość często zaglądali do tych kościołów na nabożeństwa. Lecz nabożeństwo łacińskie dla nich jest całkiem obce, kazania polskie i śpiewy polskie również obce, zwłaszcza, że przez dziesiątki lat uczono ich unikać i nienawidzić wszystkiego co jest polskie. W rezultacie zaprzestali chodzić do tych świątyń i czy katolicyzm na tem wygrał? Zupełnie inaczej sprawa ta by się przedstawiała, gdyby w tym kościele, choćby i przy łacińskiej mszy św. słyszeli kazania w swej rodowitej mowie, jak również suplikacje i inne pobożne pienia.—To wszystko napewno przemówiłoby do serc i pociągnęłoby ich do Kościoła-Katolickiego, bo w cerkwi prawosławnej nie słyszeli oni przepięknych godziniek, ślicznego różańca, słodkich litanij, rzewnych Gorzkich Żalów i innych pieśni nabożnych. Tam poza *Hospodi Pomituj*, aż nazbyt

często powtarzanem, niewiele co mogli słyszeć i to w mowie nie dla wszystkich zrozumiałej, bo cerkiewno-słowiańskiej.

Katolicyzm ma szanse powodzenia, ale musi być prawdziwym Chrystusowym katolicyzmem, *nie* zaś sługą narodowości tej lub innej.

A więc nie tamować ruchu białoruskiego-katolickiego odmawianiem aprobaty na książki religijne, wysyłaniem księży Białorusinów do mazurskich parafij, wydalaniem Białorusinów-kleryków z seminarjum duchownego i t. p. należy, ale raczej ten ruch popierać, dbając jedynie o to, by nie wkładał się doń szowinizm narodowy i wszelkie inne pierwiastki pogańskie.

Wtedy ten ruch przyniósłby niezaprzeczoną korzyść krajowi i kościołowi, bo gdzie jest zdrowy katolicyzm, nie może tam być miejsca na bolszewizm i wogóle na działalność wywrotową szkodliwą dla dobra powszechnego.

K. B.

Znamienne oświadczenie.

(Głos optymisty).

„Głos Narodu” zamieścił notatkę, z której drukujemy tu część jej najistotniejszą:

Z okazji 75-tej rocznicy swych urodzin, arcybiskup w Pradze Czeskiej, Dr. Kordacz, przyjął publicystę praskiego, D-ra Rev, redaktora tygodnika p. t. „Prawda”, przed którym wyraził swój pogląd na sprawy narodowościowe: „*Jestem bezwzględny zwolennikiem wyrównania różnic narodowościowych w republice czechosłowackiej. My, Czesi, nie potrzebujemy obecnie obawiać się prześladowania. Stąd i wobec innych narodowości winniśmy uprawiać jak najdalej idącą tolerancję... Uważam, iż jest to wielki błąd D-ra Kramarza, którego cenię jako polityka, że nadal myśli kategorjami młodoczeskiej partji. Czechosłowacja może istnieć tylko, jako państwo narodowościowe, a nie jako państwo narodowe*”.

Tak mówi publicznie arcybiskup katolicki w Pradze Czeskiej, pomny że w skład Czechosłowacji wchodzi kilka milionów Niemców, milionowe zastępy Słowaków i Ukraińców, wreszcie mniejsza ilość Węgrów. W ojczyźnie arc. Kordacza nie brak też czeskiego Dmowskiego D-ra Kramarza, niewątpliwie zdolnego polityka, który by chciał jednak zczeczizować mniejszości tameczne. Lecz cóż to wszystko znaczyć może w oczach zapatrzonego *jedynie* w ideały katolickie biskupa na miarę Atanazyh i Augustynów?!

Kiedyż podobny głos rozlegnie się w Rzeczypospolitej Polskiej z ust jej Prymasa? Kiedyż zawtóruje mu echo w Warszawie, gdzie rezyduje kardynał Kakowski? Rzecz pewna, że Dmowski myśli całkiem innymi kategorjami niż arc. Kordacz, ale niech myśli sobie, jak mu się podoba. Nie powinno to obchodzić i wiązać w czemkolwiek najwyższych przedstawicieli Kościoła. Czyż wśród biskupów diecezji nadgranicznych, na zachodzie i wschodzie nie znajdzie się ani jednego biskupa, któryby publicznie ozwał się do społeczeństwa i władz z takimi słowami: „*Jestem bezwzględny zwolennikiem wyrównania różnic narodowościowych w republice polskiej... My, Polacy, nie potrzebujemy obecnie obawiać się prześladowania. Stąd i wobec innych narodowości winniśmy uprawiać jak najdalej idącą tolerancję. Uważam, iż jest to wielki błąd D-ra Dmowskie-*

go, którego cenię, jako polityka, że nadal myśli kategorjami narodowo-demokratycznej partji. *Polska może istnieć tylko jako państwo narodowościowe a nie jako narodowe*".

Wielki już czas, by publicznie padło podobne oświadczenie z ust polskich ksiąząt Kościoła. I słowa, te lub podobne, pierwiej lub później, padną. Że tak długo jednak wypada na nie czekać, niezbitcie dowodzi tylko, jak przemożne są wpływy endecji nawet wśród hierarchji katolickiej w Polsce.

as.

Z mego notatnika.

Zacietrzewienie.

Niedawno w kinie „Polonia” był wyświetlany film, przedstawiający historję słynnego popa Hapona na tle jego działalności agitacyjnej wśród robotników petersburskich, której epilogiem była pamiętna rzeź bezbronnych tłumów przed pałacem Zimowym w dniu 9 stycznia 1905 r.

Był to niewątpliwie jeden z najlepszych filmów, jakie mi się zdarzyło widzieć. Zaledwie parę momentów było może nieco przejaszczonych. Całość jednakże, znakomicie wyreżyserowana, sprawiała wstrząsające wrażenie.

Podobno film ten został spreparowany przez bolszewików na podstawie dokumentów, znalezionych w archiwum państwowem i odtwarza przebieg ówczesnych wypadków ze ścisłością historyczną. Istotnie najdrobniejsze szczegóły w obrazach są nacechowane prawdą i realizmem, a znane postacie dygnitarzy carskich wraz ze swym suwerenem Mikołajem II uderzają nadzwyczajnem podobieństwem rysów.

Nic też dziwnego, że film cieszył się ogromnem powodzeniem, bo nie jeden z widzów być może oglądał te same lub podobne sceny własnymi oczami w rzeczywistości.

Oczywiście film ten nie jest odpowiedni dla propagandy monarchizmu i gdyby go surowo potępiło „Słowo”, nie byłoby w tem nic dziwnego.

Oburzyło się wszakże nie „Słowo”, lecz pismo rosyjskie „Za swobodu”, wychodzące w Warszawie. Feljetonista tego dziennika, głośny powieściopisarz rosyjski Arcybaszew wyraża zdziwienie, że władze polskie tolerują jawną propagandę bolszewicką i ostro piętnuje postępowanie nie tylko przedsiębiorcy kinematografu „Polonia”, (podobno Rosjanina), lecz, co najzabawniejsza, nawet właściciela kamienicy, znanego dobrze w Wilnie staroobrzędowca p. Pimienowa, tak, jakby od niego zależała cenzura obrazów świetlnych!

Trudno o większe zacietrzewienie! Należy zaznaczyć, że nic bolszewickiego w filmie niema, prócz jego pochodzenia. Bo trudno przecież nazwać agitacją bolszewicką wystawienie w ujemnem świetle „ochrony” petersburskiej, żandarmów, prowokatorów, samego cara i jego otoczenia oraz perfidnej polityki biurokracji ówczesnej. Napewno tak, a nie inaczej zapamiętywali się na te wszystkie rzeczy w r. 1905 i p. Arcybaszew i p. Fiłosofow i inni ich koledzy redakcyjni. Dziś zaś nie posiadają się z oburzenia za odtwarzanie prawdy historycznej.

Niezmiernie to charakterystyczny przyczynek do psychologii współczesnej inteligencji wszelkich rodowości!

Tego jeszcze nie bywało!

„Polityka silnej ręki”, którą zainicjował p. minister Meysztowicz w stosunku do „Hramady” i posłów białoruskich w demokratycznym i konstytucyjnem państwie polskiem posuwa się o wiele dalej, niż sięgały zakusy wszechwładnej biurokracji w autokratycznym państwie carów.

Nawet za rządów Szczegłowitowa, które zdemoralizowały głęboko sądownictwo rosyjskie, nie odważono się na dokonanie rewizji u adwokata, jedynie na tej podstawie, że broni on przestępców politycznych i w tym celu, by z jego aktów zaczerpnąć materiał do oskarżenia jego klientów.

I w państwie polskiem, jak w każdym innem nowoczesnem cywilizowanem państwie ustawa gwarantuje tajemnicę zawodową adwokata. Nie pozwala ona sądowni wkraczać w tajemnice zawodowe obrońcy. Ale prawo swoją drogą, a „polityka silnej ręki” swoją.

To też nowy kurs polityczny zdobył się na niesłychany w dziejach sądownictwa i palestry krok: dokonanie rewizji w mieszkaniu znanego adwokata wileńskiego W. Rodziewicza, na którego barki po śmierci Tadeusza Wróblewskiego spadł cały ciężar obrony w sprawach politycznych.

Poprzewracano mu akta spraw sądowych i pozabierano niektóre papiery, które jednakże nazajutrz zwrócono.

Jak donosi „Kurjer Wileński”, który zajął w tej sprawie godne pochwały stanowisko, Rada Adwokacka w Wilnie wystosowała natychmiast energiczny protest do prokuratora Sądu Okręgowego w Wilnie oraz do ministra sprawiedliwości, zawiadamiając jednocześnie o wypadku Naczelną Radę Adwokacką w Warszawie.

Zupełnie słusznie podkreśla „Kurjer Wileński”, że za dokonane bezprawie ponosi odpowiedzialność przedewszystkiem naczelny prokurator państwa—minister sprawiedliwości p. Aleksander Meysztowicz.

Ale czyż nie jest wysoce paradoksalnem zjawisko, że pomawiany jest o złamanie prawa ten właśnie, kto powinien stać na jego straży? I czy nie wynika ono z tego, że ministrem sprawiedliwości został mianowany człowiek, który z prawem nigdy nie miał do czynienia?

Gdyby ś. p. Tadeusz Wróblewski ożył nagle i ujrzał swój zawód, którym się szczycił, tak sponiewierany, z pewnością położyłby się znów do grobu. Czego jeszcze dożyjemy?

Licz.

Piszą do nas.

Krzywdą moralną.

W czasie świąt Bożego Narodzenia najwyższy u nas przedstawiciel Kościoła katolickiego odwiedzał więźniów w więzieniach wileńskich. Piękny to zwyczaj. Odwiedzając jednak tych, co na karę więzienia zasłużyli, ów wysoki dostojnik Kościoła zapomniał, że są u nas jeszcze inni więźniowie, ponoszący bez winy karę wszelakich skrępowań i ograniczeń już oddawna, i to w swym kraju ojczystym! w swej dawnej stolicy! I tym coś się należało od swego arcybiskupa. Przynosząc więźniom celkowym pociechę, nam, używającym tylko pozornie wolności, przyniósł on na gwiazdkę nie pociechę, lecz smutek.

Przyniósł smutek, bo pośród księży Litwinów

archidiecezji wileńskiej nie znalazł Arcypasterz ani jednego, któryby był godnym zasiadania w kapitule wileńskiej. Nie znalazło się wśród nich sprawiedliwych, jak ongiś w Sodomie i Gomorze.

Widocznem jest, że ci tylko dostąpili tego zaszczytu, którzy w niedalekiej przeszłości, jak to świeżo wszyscy mamy w pamięci, zaznaczyli się swemi wrogami wystąpieniami przeciw biskupowi Matulewiczowi i przyczynili się do faktycznej jego banicji z Wilna.

Chyba polityka Chrystusowa nie wymaga upodlenia Litwinów i poniżania kapłanów narodowości litewskiej, z których dotychczas najgodniejszy, dziś przez stolicę św. wyniesiony na biskupa diecezji kosedarskiej, piastował przez dziesięć lat godność kanonika gremjalnego kapituły wileńskiej.

Gdy Litwa tylko budzić się poczyniała do życia narodowego, może nie jeden z obecnych księży kanoników głośno twierdził, że też jest Litwinem z krwi i przekonania. Dziś jest inaczej, dziś ten sam nieraz jest rodowitym Polakiem, bo czasy się zmieniły. Ale czyż nie zasługują na większy szacunek i uznanie ci, którzy nie wyparli się swej narodowości i pozostali Litwinami, nie bacząc na pokusy kariery?

Piszę to, co dyktuje mi serce zbolale nad niedolą mego narodu i wymierzoną mu przez Polaków niesprawiedliwością tam, gdzie go spotkać nigdy nie powinniśmy, — w Kościele katolickim.

Litwinka.

List do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze.

Oddawna znając stowarzyszenie Braci Michaelitów założone przed kilku dziesięciami laty przez s. p. ks. Markiewicza, w Miejscu Piastowem pod Przemysłem, z uznaniem śledziłem rozwój jego w Małopolsce. Praca jego pedagogiczno-społeczna, zapoczątkowana przez proboszcza małutkiej, bo zaledwie pięćset dusz liczącej parafji, musiała być bardzo owocną, jeżeli po śmierci ks. Markiewicza, Zarząd Krajowy wziął ją pod swoją opiekę i sukursować począł. Wieści o niej do nas prawie nie dochodziły dzięki kordonom, co naszą ojczyznę rozdzielały.

Dopiero od paru lat zgromadzenie Braci Michaelitów w skromnej liczbie paru kapłanów i kilku braciśzków osiadło w majątku Działkowiczach, jak to już wiadomo redakcji z listu p. Heleny Jelskiej (nie Jeleńskiej jak mylnie wydrukowano w „Przeźglądzie”). Ciężki zarzut anonimowego korespondenta „przejeźdnego” rzucony na *całe zgromadzenie*, że pod pokrywką rzekomo religijno-społecznej działalności zajmuje się szerzeniem polskiego szowinizmu wśród ludności białoruskiej, zarzut nie poparty żadnym dowodem wydał mi się wprost ohydny potwarz, powtórzeniem jakiegś plotki o rzekomem wylajaniu *jakiegś wdowy* (?) z Nowej Myszy, *przez jakiegś kwestarza*. W celu wyjaśnienia skąd ta plotka powstać mogła, zwróciłem się z zapytaniem do ks. proboszcza z Nowej Myszy ks. Madalińskiego, i odpowiedź jego załączam:

„W lipcu zeszłego roku był pożar w Nowej Myszy, spaliło się 15 domów. Wszyscy pogorzelnicy na podstawie świadectw moich i wójta dostali drzewo budulcowe zadarmo w Działkowiczach. Listę tych 15 pogorzelników gmina dostarczyła do Działkowicz, nawet Żydzi pogorzelnicy, będący na liście otrzymali drzewo. Coś w miesiąc po pożarze, t. j. w sierpniu w czasie burzy zapalił się od pioruna dom Wincentego Pierechoda i jego matki, ale dom został uratowany, spalił się tylko dach. Matka tego Pierechoda pojechała do Działkowicz, żądając dla siebie i syna drzewa, ale ani odemnie, ani od wójta zaświadczenia nie wzięła. W Działkowiczach nieznając jej, a na liście, resztą już wyczerpanej, nie znalazłszy jej nazwiska, odmówiono drzewa, bojąc się oszusta. Jednak żeby napróżno nie przyjeżdżała, dano jej furę drzewa opałowego. Oto powód zemsty!

Ów Wincenty Pierechod jest to stały mieszkaniec Nowej Myszy, agitator, stale szarpający księży, bo i mnie naubliżał na zebraniu młodzieży, nigdy go też niewiduję w kościele. Ks. Tarynowicz zrobił go tutaj prezesem: „*Koła Białoruskiego Instytutu Gospodarki i Kultury w Nowej-Myszy*”. Głos ogólny w Nowej-Myszy wskazuje, że jeśli nie autorem artykułów

w gazetach, (bo może na tyle inteligencji nie ma), to narzędziem, wykonawcą, wręczającym gazetom tę oszczerczą korespondencję jest ów Wincenty Pierechod, a nie żaden „Przejeźdny” *).

Uprzejmie proszę Szanownego Pana Redaktora o umieszczenie na szpaltach swego poczytnego pisma niniejszego listu, jako dokumentu mogącego wyjaśnić sprawę.

Ks. W. Czeczott

Pińsk, dn. 23.127 r. Kurja Biskupia.

Walka o szkołę litewską.

Od roku nauczycielstwo litewskie, skupione w zwartych szeregach organizacyjnych, wykazuje intensywną działalność w ramach swego zakładu.

Pierwszy zjazd odbył się w Świecianach dn. 6 grudnia 1926 r., drugi zaś w Wilnie dn. 30 grudnia tegoż roku. Na obu zjazdach poruszane były sprawy pedagogiczne i zawodowe, o których jako o zagadnieniach zbyt specjalnych nie będziemy się rozwodzić, natomiast poświęcimy trochę miejsca tak zwanym „głosom miejscowym”, które obrazowo malują ciężkie życie nauczyciela litewskiego na wsi, wskutek postępowania inspektorów szkolnych, policji oraz kolegów z rządowych szkół polskich.

Naucz. Muralis z Czynczyk skarżył się, że nauczyciel szkoły polskiej bez żadnego powodu oczercił go w policji, której funkcjonariusze stale odwiedzają wioskę i nakładają na wieśniaków kary pieniężne, jednocześnie grożąc im więzieniem za posyłanie dzieci do szkoły litewskiej.

Naucz. Kaiktisówna i Szułgasówna opowiadały, że rodzice, których dzieci chodzą do szkół litewskich kilka razy już płacili kary przez policję nałożone.

Naucz. Jesiulonis i Szwałkówna z Nowych-Świecian zakomunikowali, że wójt gminy stale im przeszkadza w pracy. Stara się on w rozmaity sposób wmówić wieśniakom, żeby posyłali swe dzieci do szkoły polskiej. Nie obchodzi się oczywiście bez gróźb. Pomimo tego ludność nie zwraca wcale uwagi na wójta i posyła dzieci do szkół litewskich.

Naucz. Grybauskas obszernie opisywał stosunki szkolne w miasteczku Połusze, gdzie istnieje szkoła litewska od czasów rosyjskich, a którą w roku szkolnym 1926/26 władze niechciały zatwierdzić. Nauczyciel był pięć razy w kuratorjum, kilkanaście razy u inspektora święciańskiego, a oprócz tego mieszkańcy miasteczka stale pisywali podania do władz, aż upór i cierpliwość zwyciężyły — koncesję na szkołę niedawno otrzymano. Nauczyciel szkoły polskiej już od dwóch lat zapowiada, że doprowadzi do zamknięcia szkoły litewskiej, lecz bez skutku, gdyż mieszkańcy są uświadomieni. Nie pomagają ani cukierki szczerze rozdawane, ani nowe czapki, które nauczyciel dzieciom w roku zeszłym bezpłatnie ofiarował. W tym roku do szkoły litewskiej przyszło kilkoro dzieci właśnie w tych czapkach.

Naucz. Varnas, zdając sprawę ze swojej pracy we wsi Bernaty, stwierdza, że władze zatwierdziły go zaledwie 2 listopada 1926 r., zaś koncesję na szkołę wydały później. W tym czasie założono szkołę polską państwową, której nauczycielka straszyla wieśniaków, że jeżeli będą posyłali swe dzieci do szkoły litewskiej, będą na nich nakładane wysokie kary pieniężne. Rodzice, bojąc się kar, posyłali do szkoły polskiej, lecz gdy szkoła litewska otrzymała koncesję, wrócili znów do niej. Nauczycielka szkoły polskiej jesienią zabrała ze szkoły litewskiej ławki, a gdy właś-

*) Na tym punkcie „głos ogólny” stanowczo się myli. (Przyp. Red.).

ciele ławek chcieli je odebrać, zagroziła karą, jednego zaś gospodarza, który odebrał ławkę, zaskarżyła do policji. Komendant posterunku policyjnego spisując protokół, straszyl 10 miesięcznym więzieniem, wobec czego gospodarz oddał swoją własność szkole polskiej. Bardzo charakterystyczny dla metod stosowanych przez policję był wypadek następujący. Policja, na podstawie oskarżenia nauczycielki - Polki wezwała go na posterunek i tam w rozmaity, często niekulturalny sposób badała jego oraz wieśniaków. Nie poprzestając na tem policja zażądała przyprowadzenia na posterunek dzieci. Dwoje dzieci zaniesiono: jedno siedmioletnie, a drugie dziesięcioletnie... Dzieci się strasznie zlekły i rozplakały, wobec czego policja musiała zrezygnować z badania.

Naucz. Gudołajtisówna opowiadała, że inspektor pow. Braślawskiego stawia dziwne żądania: wizytując szkołę stanowczo zabronił uczyć historii Litwy, motywując swój zakaz tem, że w Wileńszczyźnie takie same ma znaczenie historia Litwy, jak historia Chin lub Francji! Żądał też aby dzieci śpiewały pieśni polskie.

Naucz. Plenisówna: Gdy przyjechała jesienią do szkoły, na drugi dzień zjawił się policjant, spisał protokół i skonfiskował książki, których do tej pory mi nie zwrócił.

Wybraliśmy najciekawsze „głosy miejscowe”, które najlepiej ilustrują stosunek władz prowincjonalnych do szkół litewskich.

Nell. Brank.

Przegląd prasy żydowskiej.

Tak zwana „likwidacja Hramady” znalazła głośny oddźwięk w prasie żydowskiej. Najmocniej oczywiście zareagowały pisma o kierunku socjalistycznym. Znany żydowski działacz i członek warszawskiej Rady Miejskiej B. Michalewicz w warszawskiej „Naje Folkscajtung” (№ 18) w taki sposób charakteryzuje działalność Hramady:

„Istniało białoruskie, włościańskie stronnictwo, które pracowało jawnie, na podstawie otrzymywanych każdorazowo od władz zezwoleń, prowadziło gospodarczą akcję kredytową przez zalegalizowany bank, urzędowało legalne zgromadzenia polityczne i kulturalne”

i tę oto pracę, pisze Michalewicz, pewnego dnia rozbito i zniszczono, a stało się dlatego, że „żubry kresowe były mocno niezadowolone z tej działalności”, a żubry kresowe mają dziś wielkie wpływy w rządzie...

Wileński „Tog” № 19 z b. r. w artykule omawiającym ogłoszony przed kilku dniami dekret o przedterminowym uwolnieniu więźniów pisze:

„Nie jest przypadkiem, że bezpośrednio po masowych aresztach, nastąpiło wydanie dekretu „o amnestji”. Przedewszystkiem chciano w ten sposób uczynić piękny gest: mówicie o „białym terrorze” w Polsce, broń Boże, przeciwnie, patrzcie, my ogłaszamy amnestję”

i jeszcze jeden powód, widzi „Tog”, jaki wpłynął na wydanie tego dekretu:

„Więzienia są przepelnione i trzeba zrobić miejsce dla nowych więźniów, więc zwolni się trochę złodziei i morderców, i na ich miejsce posadzi się więźniów politycznych”.

W dalszym ciągu autor artykułu dowodzi, że z dekretu „o amnestji” skorzystają tylko przestępcy kryminalni a nie więźniowie polityczni i dodaje, że prawdziwa amnestja:

„Nie nadeszła jeszcze i nie może nadejść wtedy, kiedy na straży sprawiedliwości stoi taka osobistość, jak Aleksander Meyszowicz”.

Gdzież jest droga do prawdziwej amnestji, któ-

raby przedewszystkiem objęła więźniów politycznych, zapytuje autor artykułu i pisze:

„Walka o amnestję jest jedn. znaczna z walką z polskimi sferami reakcyjnymi i z ich „łapami” które zaciążyły na polskim życiu państwowem”.

Artykuł ten kończy się takim wnioskiem:

„Walka o amnestję jest jednoznaczna z walką o wprowadzenie ustroju praworządnego w republice pomajowej”.

Ego.

Bibliografia.

St. Świaniewicz. *Psychiczne podłoże produkcji w ujęciu Jerzego Sorela*. Kraków. 1926. Str. 89.

Jeśli się nie mylimy, powyższe studjum p. Świaniewicza stanowi znaczny fragment jego pracy doktorskiej. Jako taka, rzecz ta — i cała i w swych częściach, — doczekała się już niezawodnie oceny fachowej na uniwersytecie. Wolno nam się domyślać, że i sąd o niej wypadł nader pochlebnie dla doktora. Znowu, jako odbitka z b. poważnego rocznika krakowskiego, „Czasopisma prawniczego i ekonomicznego”, studjum p. Świaniewicza mogło już być omówionem w szeregu najpoważniejszych polskich periodyków.

Cieszymy się zawsze szczerze, ilekroć ktoś z U. S. B., w słowie lub druku da rzecz wartości rzetelnej. Ale podwójną jest nasza radość, gdy możemy zamieścić krótką, a skromną notatkę o pracy p. Świaniewicza, tak nam sympatycznego, jako uczelnika u nas na swój sposób idei krajowej i człowieka wnoszącego do zatchłej atmosfery Wilna ożywczy pęd myśli rozumnych, szlachetnych, a oryginalnych.

Ponieważ p. Świaniewicz do sorelizmu ustosunkował się w swem studjum krótko, a nader już zwięźle, wypowiadając o nim tylko w rozdziale X: *Do wolności podstawowych twierdzeń Sorela*, wypada w recenzji przenieść punkt ciężkości na samą teorię Sorela. Dla szczupłości miejsca poprzestaniemy na ważniejszych tylko uwagach. Do niedawna tak modny jeszcze bergsonizm pociągał wprawdzie umysły śmiałością a pozorną prostotą swych twierdzeń, chociaż jasnością wcale nie grzeszył. Sorelizm, który w sposób bardzo oryginalny połączył „twierdzenia filozofji Bergsona z praktyką robotniczego ruchu syndykalistycznego”, skazał siebie przez to samo na bytowanie też imponujące śmiałością wniosków, prostotą środków i, niestety, niejasnością. Jak wszystkie doktryny, powstałe na podłożu niezadowolonia z ekonomicznych warunków bytu, Sorel jest b. silny w krytyce obecnego ustroju społecznego, atoli nie dorównywa jej pod tym względem praktyczna strona jego doktryny. Z tego np., że olbrzymia większość ludzi istotnie nie docenia dziś doniosłości zagadnień ekonomicznych w całokształcie ustroju społecznego, a konkretnie już nie szanuje należycie pracy fizycznej, ojciec sorelizmu wyprowadza konieczność ni mniej ni więcej... *apoteozy* pracy! Niech nikt nas nie posądzi tu o przesadę; wystarczy mniejsze streszczenie doktryny Sorela przez p. Świaniewicza, by przekonać się, że ekonomicznie francuskiemu właśnie o to *ubóstwienie* (najdosłowniejsze) chodzi. Każdy inny, użyty tu wyraz, będzie brzmiał zbyt słabo. Można tedy strawestować znane zdanie liberałów: *diis extinctis successit... Labor!*

Sorel popełnił „drobne” przeoczenie, — iż człek potrzebuje wypoczynku, o którym nie powiedział

ani słowa. Bagatelka!.. Jak fizyczna, tak duchowa natura człowieka domagają się tego nieodwołalnie. Słusznie tedy *philosophia perennis*, przez usta i pióra współczesnych egzegetów starej Biblii, podkreśla, wbrew historycznym wyśrubowywaniom pracy nad wszelkie poziomy, *der ewige Sabbatismus*, jako ostateczny cel bytowania, którego słabą projekcją ziemską są nasze niedziele, święta i dni wypoczynkowe. Za zbędne uważam wyjaśniać, że wypoczynek nic a nic nie ma wspólnego z próżniactwem fizycznym i duchowym.

Sorelizm mówi dużo o potrzebie mytu, któryby wstrząsł klasą robotniczą i uczynił ją zdolną do zbudowania nowego świata pracy. P. Świaniewicz, chociaż ilustruje rolę mitów kilku przykładami, nie daje określenia „mytu“.

W nowym układzie społecznym, projektowanym przez Sorela, wypadłoby pracy być naraz naturą i łaską, przedmiotem i podmiotem, czyli i kołem i jego dźwignią.. Od chwili ucieleśnienia się sorelizmu, praca ma dokonywać swego rodzaju perpetuum mobile, utrzymując niejako w wiecznej młodości ludzkość. Sorela, gdy mówi o ubóstwianiu przezeń pracy, cechuje tak właściwy dla zakochanych brak przedmiotowości w ocenie jej zalet.

Warsztat i narzędzia produkcji, winny, w myśl szkoły Sorela, stać się ukochaniem robotnika i majstra. Nic nie szkodził Tylko w jakiż, proszę, sposób, stanie się niem ociekający krwią bydłęcą nóż rzeźnika? I t. d. Jakiż postęp techniczny i kiedy uczyni dla nich miłym dłuższy pobyt np. w garbarni?!

Najszczerzej jednak wyznajemy, że z dużą przyjemnością czytaliśmy, od deski do deski, świetnie streszczony przez p. Świaniewicza wykład sorelizmu. Jest to, obok doktryny St. Brzozowskiego, wspaniała, nacechowany polem duchu romańskiego, rapsod ku czci pracy. Lektura nader pouczająca.

P. Świaniewicz sam wytknął w końcu Sorelowi dowolność jego podstawowych twierdzeń. Nie co innego i my mieliśmy na myśli w powyższej krytyce sorelizmu, nazwanego zresztą przez p. Salomé w *Revue de Jeunes* zupełnie słusznie *le lyrisme de Georges Sorel*.

M. Brensztejn i J. Otrębski. *Dajny litewskie zapisane przez Adama Mickiewicza.* Rozprawy i materiały wydziały I Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie T. I. Zesz. 4. Wilno. 1927.

Władysław Mickiewicz, opisując w r. 1908 Muzeum Mickiewiczowskie w Paryżu, po raz pierwszy w druku wymienił ofiarowany przez p. Gorecką „jedyny znany autograf Mickiewicza po litewsku“ z dodatkiem informacji, że „Mickiewicz lubił słuchać starego przyjaciela Korylskiego, śpiewającego mu litewskie pieśni ludowe“

Rozprawka p. Brensztejna poświęcona jest właśnie zbadaniu tego wypadku i rozważeniu kwestji znajomości przez Mickiewicza języka litewskiego.

Dokładna analiza autografu, (załączonego w odbicie), osoby owego Korylskiego (którego prawdziwe nazwisko było Kobecki) oraz rozmaitych informacji pochodzących od dzieci, przyjaciół i znajomych poety pozwoliło p. Brejnstejnowi ustalić następujące wnioski:

1) Dajny zostały zapisane przez Mickiewicza ze słów słyszanych z ust Zmudzina Kobeckiego-Korylskiego.

2) Zapisał je niewątpliwie sam Mickiewicz.

3) Upada wersja o „poprawieniu“ ich przez Mickiewicza.

4) Zapisane dajny zostały w narzeczu żmudzkiem czyli dolno-litewskim.

5) Mickiewicz narzecza tego nie znał.

Do takiegoż przeświadczenia po zanalizowaniu tekstu dajny pod względem językowym doszedł również prof. J. Otrębski, który zamyka swe wywody przypuszczeniem, że Mickiewicz posiadał bardzo niedostateczną znajomość języka litewskiego.

Jest to zupełnie prawdopodobne, bo gdzież Mickiewicz mógł się nauczyć gruntownie po litewsku?

Niewątpliwie mowa litewska nieraz się obijała o jego uszy — w Wilnie, a zwłaszcza w Kownie, ale z dorywczego słuchania nie sposób się nauczyć języka, zwłaszcza tak trudnego jakim jest litewski. Zupełnie więc słusznie obaj współautorzy rozprawki dochodzą do wniosku, że język litewski nie był obcy Mickiewiczowi, ale że nim nie władał. a.

KRONIKA.

Śp. Kazimierz Wimbor. Po nieudanej operacji zmarł nagle dn. 24 b. m. w sile wieku, bo mając zaledwie 39 lat komisarz rządu na m. Wilno ś. p. Kazimierz Wimbor. Zmarł na piastowanym przez siebie od r. 1921 stanowisku zaznaczył się jako sumienny i taktowny urzędnik, a w społeczeństwie polskim cieszył się wielkim poważaniem i ogólną sympatją. Całe Wilno ze zrozumiałym zaciekawieniem i niepokojem oczekuje, kto obejmie po zmarłym trudny i odpowiedzialny ten urząd.

Nowy rektor. Po rezygnacji prof. Zdziechowskiego na stanowisko rektora U. S. B. były wysunięte dwie kandydatury: ks. Żongolowicza i prof. Pigonia. Zwyciężył ten ostatni. Prof. St. Pigoń słynie jako najlepszy znawca i komentator Mickiewicza. Na gruncie wileńskim przed paru laty wstąpił się niefortunną polemiką o celę Konrada z p. A. Luckiewiczem.

Z życia litewskiego. W styczniu odbyły się wybory nowego Tymczasowego Komitetu Litewskiego w Wilnie oraz zarządu T-wa oświatowego „Rytas“. W składzie osobistym zaszyły nieznaczne zmiany. Prezydium T. Komitetu Litewskiego uformowało się w następującym składzie: prezes—dr. D. Olsejko, wice prezes—p. K. Welecki, skarbnik—p. K. Staszys oraz sekretarz—p. Juchniewicz. Prezesem T-wa „Rytas“ został wybrany ponownie ks. P. Kraujalis

Protest. Dn. 8 stycznia roku 1927 Rada Pedagogiczna Gimnazjum Białoruskiego w Wilnie po wymianie zdań na posiedzeniu swem w sprawie aresztu dyrektora gimnazjum Ostrowskiego. uchwaliła rezolucję następującej treści:

„Pracując z dyrektorem Ostrowskim w przeciagu przeszło trzech lat i znając go wobec tego, jak ze strony moralnej, tak i politycznej, stanowczo protestujemy przeciwko szerezeniu w prasie polskiej świadomości kłamliwych i sprzecznych z prawdą wiadomości o naszym uwieczonym dyrektorze, na którego zawczasu feraje się wyrok potępiający. Również protestujemy przeciwko nagance na naszych uczni, którym zarzucane są przestępstwa nadzwyczajne. W tem wszystkim nie możemy nie widzieć burzenia naszej instytucji kulturalno-oświatowej. naszej szkoły. Gimnazjum Białoruskie w Wilnie w ciągu 8 lat swojego istnienia nie widziało ludzkiego stosunku do siebie, tak ze strony polskich sfer kierowniczych, jak i ze strony społeczeństwa polskiego, i w całym tym okresie spotykało li tylko najrozmaitsze przeszkody w swej pracy. Za przykład może służyć próba zeszlóroczna oskarżenia gimnazjum o propagandę komunistyczną, wmieszania do afery z podłożonym pód cerkiem Św. Trójcy dynamitem, katowanie naszych uczni (Janel, Sukowicz), wreszcie bezczeszczenie uwieczonego dyrektora naszego przez polskie pisma“.

Treść numeru: Uspokojenie.. bez reform.—O. Protest białoruski przeciw konkordatowi.—*Jadźwing.* Łuki w polemice o mniejszość rosyjską. — *K. B.* Jak jest a jak być powinno — *as.* Znamienne oświadczenie.—*Licz.* Z mego notatnika. *Litwinka.* Krzywda moralna.—List do redakcji.—*Ego.* Przegląd prasy żydowskiej.—*Nell. Brank.* Walka o szkołę litewską.—*Biłjografja.* — Kronika.